

Świat na wyciągnięcie myśli

(wybrane fragmenty)

s. 78-80

Popatrzmy w przyszłość, posłużymy się raz jeszcze przykładem Polski. Również obecnie prawdopodobne jest kroczenie przez następane dwie dekady różnymi ścieżkami wzrostu gospodarczego. Przyjmijmy, że mieszczą się one pomiędzy bardzo wysokim, ale przecież nie niemożliwym do uzyskania średniorocznym tempem wzrostu około 5 procent i tempem około 3 procent, ocenianym jako niskie zarówno z punktu widzenia możliwości, jak i, zwłaszcza, ambicji. Spójrzmy przeto, jak istotna będzie po następnych dwudziestu latach – w roku 2030 – różnica między poziomem PKB, który się osiąga przy stopie wzrostu w wysokości 3 procent, jaka była w rzeczywistości w latach 1990-2009, i przy stopie wzrostu 5,4 procent, jaka mogła w tym okresie być, gdyby uniknięto błędów polityki gospodarczej.

Warto w tym miejscu uzmysłowić sobie potęgę procentu składanego. Może nie ma sensu kłócić się zaciekle o przyczyny i skutki jednoprocentowej różnicy w tempie wzrostu w jakimś konkretnym roku. To doprawdy nie powód do przegrania wyborów, gdy dynamika PKB miast na przykład 104 procent wynosi zaledwie 103. W końcu, mógłby ktoś rzec, co to za różnica czy wartość produkcji zwiększa się z 18 tysięcy \$PSN do 18540 wobec potencjalnych 18720 \$PSN? Nie warto się bić o jakieś 180 dolarów. Ale jeśli taka różnica utrzymywałaby się przez pokolenie, to po dwudziestu latach zamiast prawie 40 tysięcy będzie tylko 32 500. A to już jest wielka różnica...

Gdyby cała posocjalistyczna dziesiątka Unii Europejskiej podążała przez następne dwadzieścia lat ścieżką wzrostu o szybkości 5,4 procent, to, *ceteris paribus*, a więc przy niezmiennych innych warunkach, jej łączny PKB w roku 2030 wyniósłby 5,3 biliona \$PSN, czyli prawie trzykrotnie więcej niż obecnie. Przyjmując, że średnie roczne tempo wzrostu produktu światowego brutto wyniesie w tym okresie około 3,5 procent (co daje 2,5 procent na mieszkańca planety), a dla „starej” piętnastki Unii Europejskiej nie więcej niż 1,5 procent, po dwu kolejnych dekadach PKB nowej dziesiątki wzrośnie z obecnych 12,4 procent Unii Europejskiej i 2,6 procent całego świata do odpowiednio około 30 i 3,8 procent. Wzmocniłoby to znacznie względną pozycję regionu Europy Środkowo-Wschodniej, zwłaszcza w układzie europejskim.

Dodać trzeba, że do roku 2030 do Unii Europejskiej najprawdopodobniej dołączą wszystkie państwa bałkańskie (Albania, Bośnia i Hercegowina, Chorwacja, Czarnogóra, Kosowo, Macedonia, Serbia) i, być może, niektóre republiki poradzieckie (Białoruś, Mołdawia, Ukraina). W roku 2008, przed recesją wywołaną kryzysem 2009 roku, ich łączny produkt brutto wyniósł około 730 miliardów \$PSN (z czego połowa – 360 miliardów – przypada na Ukrainę). Suma PKB tej dziesiątki stanowi 39,2 procent produktu globalnego drugiej dziesiątki, czyli krajów posocjalistycznych, które już weszły w skład Unii Europejskiej, 4,9 procent całej Unii oraz jeden procent całego świata. Liczony według siły nabywczej zagregowany PKB siedmiu krajów bałkańskich i trzech republik poradzieckich ustawiony na innym tle wynosi niewiele więcej niż PKB Polski (odpowiednio 730 i 690 miliardów \$PSN).

To zrozumiałe, że zarówno z punktu widzenia dalszego poszerzania Unii Europejskiej, jak i kontynuacji posocjalistycznej transformacji olbrzymie znaczenie ma przyszłość Ukrainy. Zważywszy na uwarunkowania polityczne i kulturowe, a przede wszystkim na utrzymujące się słabości gospodarki, Ukraina nie ma szans na wejście do Unii w drugiej dekadzie XXI wieku. Tym bardziej że w najbliższych latach Unia nie ma ani z politycznej, ani z ekonomicznej perspektywy interesu w rozszerzaniu się w tym kierunku. Biorąc pod uwagę znaczne dodatkowe obciążenia finansowe, to by ją na krótką metę osłabiło, podczas gdy powinna się wzmacniać w obliczu nasilającej się konkurencji globalnej.

Natomiast w latach dwudziestych Ukraina może zostać członkiem Unii Europejskiej. Może, ale nie musi, gdyż również realne jest jej pomyślne funkcjonowanie i rozwój poza Unią, zwłaszcza przy postępującej integracji z Rosją i niektórymi innymi republikami poradzieckimi. Tak więc kwestia ewentualnego członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej, co trzeba postrzegać także w kontekście perspektyw przystąpienia do niej Turcji, pozostawać będzie otwarta przez wiele następnych lat. Gdyby jednak Turcja została przyjęta w drugiej dekadzie wieku (co wciąż bardzo wątpliwe, ale niewykluczone), a Ukraina, spełniwszy stosowne kryteria członkostwa, chciała wejść do Unii Europejskiej, to nie będzie politycznej możliwości nieotwarcia przed nią unijnych podwoi.

Jak można oczekiwać, PKB europejskich posocjalistycznych gospodarek pozostających wciąż poza Unią Europejską, startując z niższego poziomu, może w przyszłości rosnać szybciej niż w krajach relatywnie bardziej zaawansowanych w rozwoju. Stąd też założenie jego trzykrotnego wzrostu do roku 2030 – do jakichś dwóch bilionów \$PSN – wydaje się realistyczne. Wówczas PKB wszystkich dwudziestu posocjalistycznych krajów europejskich – dziesiątki, która już jest w Unii, oraz dziesiątki, która z czasem znaleźć się w niej powinna –

wynosiłby około 7,4 biliona \$PSN, co przy poczynionych założeniach stanowiłoby 5,3 procent produkcji całego świata. Ludzkość liczyć wtedy będzie około 8 miliardów, podczas gdy Europę Środkowo- i Południowo-Wschodnią zamieszkiwać będzie mniej więcej tyle samo ludzi co obecnie, czyli jakieś 190 do 200 milionów. Tak więc ta czterdziesta część globalnej populacji, 2,5 procent mieszkańców Ziemi, wytwarzać będzie dwudziestą część produktu światowego brutto. Obecnie ludność Europy Środkowo- i Południowo-Wschodniej, stanowiąc 2,84 procent mieszkańców globu, wytwarza około 3,7 procent PŚB.

Najważniejsze jest to, że przy optymistycznym scenariuszu rocznego wzrostu gospodarczego w wysokości 5,4 procent dla dziesiątki krajów posocjalistycznych, które już znalazły się w Unii Europejskiej, wartość PKB zwiększyłaby się aż o 34 tysiące \$PSN (ze średnio licząc 18 tysięcy dziś do 52 tysięcy w roku 2030), czyli bez mała o 190 procent na mieszkańca. Tych mieszkańców nie będzie wiele więcej niż teraz, a może nawet mniej. Ale byłoby dobrze, gdyby przynajmniej mogli się cieszyć znacznie większą niż obecnie produkcją i, co za tym idzie, odczuwalnie wyższym standardem życia. Do tego bowiem należy sprowadzać sens posocjalistycznej transformacji systemowej, nie myląc – jak to się wciąż zbyt często zdarza – środków działania z jej celami.

s. 162-164

Współczesny kryzys gospodarczy, zwłaszcza finansowy, i jego realne konsekwencje mogą – mogą, ale nie muszą i o to toczy się walka – oczyścić zainfekowany nierównowagą i antagonizującymi sprzecznościami organizm gospodarki światowej. Kryzys to swoiste katharsis, którego świat potrzebuje, gdyż nie dominują w nim właściwe wartości i nie posiada on odpowiednich instytucji do realizowania sensownej polityki zrównoważonego rozwoju. Jeśli obecna kryzysowa korekta nie wymusi pożądanych procesów adaptacyjnych, to tylko kwestią czasu jest rozlanie się Jeszcze Większego Kryzysu, JWK. Paradoksalnie, jego nadejście należałoby przyspieszyć, bo to jest w interesie ludzkości. Może wtedy dojrzeje do uprawiania mądrej strategii i skutecznej polityki skoordynowanej w skali globalnej, do czego wciąż jeszcze nie dorosła.

Udaje się to w rosnącym stopniu w Europie, ale wciąż – i długo jeszcze – nie na świecie. Nie jesteśmy bowiem w stanie odpowiedzieć na liczne wyzwania, które przynosi współczesność z jej megatrendami. Wobec tego niektóre fale odpowiedzi – bo będzie ich

wiele – nadejdą w postaci kolejnych kryzysów. W Unii Europejskiej i Japonii dostosowanie będzie mniej bolesne, bo po części już się dokonało w latach dziewięćdziesiątych.

Najwyższą cenę zapłacą Stany Zjednoczone, które nie chcąc dokonać tego same, zostaną kolejnymi perturbacjami zmuszone do obniżenia dynamiki rozwoju. Ogólnie prawidłowo reagująca na kryzys lat 2008-10 administracja prezydenta Obamy wciąż nie sięga dostatecznie głęboko do instytucjonalnych i strukturalnych przyczyn, choć próbuje czynić to głębiej niż inne rządy w okresie dwu ostatnich pokoleń. Potrzebne są jednakże skuteczniejsze działania, które amerykańscy konserwatyści próbują blokować. Przy tym radość z oczekiwanego w 2010 roku wzrostu produkcji aż o mniej więcej 3 procent jest zarówno przedwczesna, jak i przesadna. Przedwczesna, bo bynajmniej nie jest to trwała tendencja, tylko jeszcze jedna krótkookresowa fluktuacja. Przesadna, gdyż pod powierzchnią zjawisk nadal toczą się procesy kryzysowe w sferze produkcji i podziału.

W przyszłości powinno nam zależeć na kroczeniu ścieżką wzrostu, którego dynamika i proporcje nie dewastują środowiska naturalnego i nie wywołują nierównowagi handlowej i finansowej destabilizującej gospodarkę światową. Powtórzmy zatem, że do powrotu przedkryzysowego tempa wzrostu na bogatym Zachodzie nie wolno dążyć, podobnie jak nie można zachwycać się zbyt wysoką dynamiką niektórych krajów rozwijających się. Wyrasta potęga Chin, szybko do przodu idą Indie, energicznie rozwija się Brazylia, znowu rusza Rosja, emancypuje się Ameryka Łacińska, znacząco rośnie produkcja w Afryce. Jednak zbyt wysokie tempo wzrostu jest nie do utrzymania, przede wszystkim ze względu na nadmierne zużycie energii i materiałów do produkcji. Im bardziej będzie ich brakować dla rozwijających się gospodarek na dorobku, tym bardziej konfliktogenna będzie sytuacja w światowej gospodarce. Im bardziej będzie ich brakowało z punktu widzenia nieokiełzanych potrzeb, tym bardziej ograniczana będzie rynkowa dystrybucja surowców, co nasili sprzeczności i konflikty polityczne.

Kiedy się wie, co i od czego zależy, rodzi się pytanie, jaki mamy wpływ na bieg dziejów. Czy możemy mieć większy – i konstruktywny – wpływ na stan środowiska naturalnego albo równowagę wzrostu gospodarczego poprzez sensowną regulację jego tempa? Albo na zużycie materiałów i racjonalizację w skali globalnej eksploatacji nieodnawialnych zasobów mineralnych, zwłaszcza energetycznych? Albo na inflację i transnarodowe przepływy kapitałowe? Albo na rozprzestrzenianie się chorób czy nasilające się migracje ludności?

s. 210-212

A gdzie ja sam wędruję? Ostatnio znowu w czasie i przestrzeni. Wkrótce ruszam na Wschodnie Karaiby, a dopiero co wróciłem z jednej z najbardziej fascynujących wypraw, gdyż odwiedziłem Świętą Górę Athos, Ajon Oros. Formalnie w Grecji, ale jakże inny to świat!

Na najbardziej na wschód wysuniętym z trzech „palców” Półwyspu Chalcydyckiego leży jedyne w swoim rodzaju monastyczne quasi-państwo mnichów prawosławnych. Na przepięknym, górzystym półwyspie o długości nieco ponad 40 i szerokości od 8 do 18 kilometrów znalazło swoje miejsce na ziemi blisko dwa tysiące zakonników. Ich tradycje sięgają bardzo dawnego czasu, który jakby się tam zatrzymał. Wciąż obowiązuje juliański kalendarz i bizantyjski czas. Dzień, a dokładniej doba, rozpoczyna się o zachodzie słońca. Gdy tam byłem, zaczynała się trzy godziny i kwadrans przed naszą północą. Początek doby koryguje się raz na tydzień i teraz, gdy dni są coraz krótsze, zaczyna się ona co tydzień o kilkanaście minut wcześniej.

Historia kraju mnichów zaczyna się w roku 874, kiedy Złota Bulla Bazylego I, cesarza bizantyjskiego, orzekła o przynależności Athos do zakonnej wspólnoty. Inna Bulla, z roku 1060 i obowiązująca nadal, zakazuje wstępu do Agios Oros, zwaną też Ogrodem Bogarodzicy, kobietom. Szkoda, że nie pozbawiono je możliwości podziwiania piękna tamtejszej nieskażonej przyrody i zabytków kultury. Majestatyczne góry, lasy, surowe wybrzeże Morza Egejskiego, dwadzieścia kompleksów klasztornych, z których najstarszy, Wielką Ławrę (Megisti Lavra), zaczęto budować w roku 963, w okresie chrztu Polski – robią niesamowite wrażenie.

Na Athos wpuszcza się dziennie nie więcej niż stu prawosławnych pielgrzymów i maksimum dziesięciu wyznawców innych religii. I to na zaledwie trzy doby. Mnie udało się uzyskać przedłużenie karty pobytu na całe dziesięć dni, a kondycja maratończyka umożliwiła przewędrowanie w górzystym i jakże pięknym terenie, starymi bizantyjskimi ścieżkami, znacznych odległości dzielących poszczególne klasztory. Odwiedziłem je wszystkie. Niesamowite miejsce...

Zakonnicy żyją pobożnie i skromnie. Gospodarują sensownie i w zasadzie jest to gospodarka bezpieczna, z dużym udziałem naturalnego, pozarynkowego zaspokajania potrzeb. Prawie żadnej komercji. Nie jest to bowiem enklawa turystyczna, a miejsce

duchowego pielgrzymowania. Gdy już dociera się do kolejnego klasztoru, mnisi udzielają przybyszowi bezpłatnej gościny, dając mu łożę i strawę (wegetariańską, tylko od święta ryba). I nigdy nie proszą „co łaska”.

Doba dzieli się na cztery części po około sześć godzin każda: czas modlitwy podczas porannej jutrzni i popołudniowo-wieczornych nieszporów, czas pracy poświęcony utrzymaniu klasztornej wspólnoty oraz na rzecz cerkwi, czas dla siebie i czas odpoczynku. Wszystkie te cztery części z kolei dzielą się na dwie partie poprzedzielane innymi czynnościami. A więc: wczesna modlitwa zakończona posiłkiem – czas wolny; sen – praca; czas wolny – praca; modlitwa z wieczornym posiłkiem – czas wolny, i nocny odpoczynek.

Posiadając przebogata kulturową spuściznę sakralną, a nierzadko literalnie skarby, których kilka też mogłem podziwiać, mnisi utrzymują swoje klasztory głównie z zewnętrznych grantów. Pracują – jedni zajmują się przyklasztornym ogrodnictwem i sadownictwem, inni produkują wino, olej, miód. Jest także trochę bardzo drobnej wytwórczości, w zasadzie rękodzielnicza produkcja dewocjonaliów. Radzą sobie nieźle. Przy tym wszystkim w ostatnich latach panuje tam istny boom renowacyjny i rekonstrukcyjny, współfinansowany przez Unię Europejską, UNESCO, organizacje pozarządowe, prywatnych sponsorów. Ale – co najważniejsze – unikatowy charakter klasztorów i mnisi tok życia jest zachowany.

s. 277-280

Sprawa wzajemnych relacji między demokracją czy też demokratyzacją (to już nieco innym problem) a funkcjonowaniem gospodarki i rozwojem społecznym jest złożona. Najkrócej i najogólniej ujmując, nie mam wątpliwości – i przyjmuję, że jest to zarówno udowodnione w teorii, jak i wykazane w praktyce – iż na długą metę demokracja sprzyja rozwojowi. Na długą metę, ponieważ w krótkich okresach wcale tak być nie musi, o czym niestety przekonujemy się także od czasu do czasu w Polsce. Niejednokrotnie, również w krajach o wysoko zaawansowanych demokratycznych instytucjach, ciągną się bezproduktywne dyskusje odwlekające podjęcie decyzji, które z punktu widzenia ekonomicznej efektywności podjąć trzeba, bo są racjonalne. Koszmarne są sytuacje, których też doświadczałem jako polityk, kiedy to, co racjonalne ekonomicznie, nie jest możliwe politycznie. Co wtedy? Cóż, argumenty, dyskusja, cierpliwość. Demokracja jest ustrojem dla ludzi cierpliwych.

Na przykłady rozbieżności pomiędzy racjonalnością ekonomiczną a wykonalnością polityczną można wskazać chyba w każdym kraju, również w Stanach Zjednoczonych. Od razu warto dodać, że obecny kryzys gospodarczy to też produkt demokracji, a nie jej braku. To przecież kryzys *Made in USA*, a nie *Made in China*. Demokracja zatem nie jest czymś idealnym, bo ma swoje oczywiste przywary. Ale zdecydowanie dominują zalety.

Demokracja sprzyja postępowi, ponieważ wymaga konkurencyjności wyznawanych wartości i wynikających z nich ofert programowych, a przede wszystkim umiejętności uprawiania skutecznej polityki, w tym polityki makroekonomicznej. Demokracja w dłuższym okresie eliminuje przeto marne wartości, złe programy, fałszywe cele, niesprawne strategie, ułomną politykę. Przede wszystkim zaś odsuwa od władzy bądź też blokuje dojście do niej złych, czyli nieskutecznych polityków. Koniec końców rządzą ci, którzy nie tylko bardzo chcą, ale i coś potrafią.

Na gruncie czysto prakseologicznym można problem sprowadzić do pytania, czy demokracja sprzyja podejmowaniu decyzji racjonalnych z ekonomicznego punktu widzenia. Tak, sprzyja, o ile politycy są moralni. Tak, sprzyja, o ile wyborcy są dobrze poinformowani. Tak, sprzyja, o ile media bardziej opinię publiczną wyrażają, niż nią manipulują. Tak, sprzyja, o ile procedury wyborcze służą wyłanianiu najlepszych kandydatów. Tak sprzyja, jeśli instytucjonalnie zablokowane są mechanizmy politycznej korupcji. Tak, sprzyja, jeśli ludzie zbyt szybko nie zapominają, co im obiecywano. Tych „tak, jeśli...” jest więcej, wobec tego odpowiedź na nasze pytanie nie jest ani jednoznaczna, ani bezwarunkowa.

Pomimo to opowiadam się – nie ja jeden, bo, sądzę, przytłaczająca większość z nas – za demokracją. Nie wiem, czy nie jest już nudne przytaczanie sławetnego powiedzonka przypisywanego Winstonowi Churchillowi, że demokracja to paskudny system, ale nikt nie wymyślił nic lepszego. W przemówieniu przed brytyjskim parlamentem 11 listopada 1947 roku powiedział on: „Nikt nie twierdzi, że demokracja jest idealna i wszechmądra. Wręcz powiadają, że jeśli nie liczyć wszystkich innych form rządzenia, jakich od czasu do czasu próbowano, demokracja to najgorszy sposób sprawowania władzy.”

No właśnie: czy jest coś lepszego od tego demokratycznego „mniejszego zła”, z którym także Churchill, ile by wtedy nie miał racji w swoich planach (przyjmijmy, że miał), musiał się borykać, walcząc z opozycją, z którą i tak w końcu przegrał? Otóż bywa, że jest. Pogląd taki, oczywiście politycznie niepoprawny, jest słuszny. Ale – także oczywiście – nie bezwarunkowo. Winna nam przyświecać przede wszystkim chęć poszukiwania prawdy, dochodzenia do trafnych odpowiedzi, a nie koniunkturalna polityczna poprawność. Zdarzają się sytuacje, kiedy światły system niedemokratyczny jest lepszy aniżeli formalna demokracja.

To do niej, do tej formalnej, a nie realnej „władzy ludu”, odnosi się internauta, pytając o mój „stosunek do demokratycznego systemu wyboru władz państwowych”.

Demokratyczny system wyboru władz sam z siebie nie gwarantuje, że społeczeństwa będą się zachowywać racjonalnie, a wybrani politycy mądrze i uczciwie. To wymaga czegoś więcej, a mianowicie odpowiedniej kultury, która jest głęboko osadzona w historii i tradycji. Bywa, zwłaszcza w krajach o relatywnie młodym systemie demokratycznym, że wybiera się niekompetentnych, krótkowzrocznych, skorumpowanych polityków – z opłakanymi skutkami. Masę tegoż dowodów i przejawów mamy w krajach, które można by określić jako *emerging democracies*, czyli wyłaniające się demokracje.

W niektórych z nich w rezultacie wolnych wyborów powstają linie demarkacyjne dzielące społeczeństwo według kryteriów etnicznych albo religijnych, zamiast łączyć grupy społeczne o wspólnych preferencjach przekładających się na zwarty program polityczny i zdolność do jego wspólnego urzeczywistniania. Współcześnie niezłą lekcję pod tym względem dają nam Afganistan i Irak, którym Zachód zapragnął narzucić demokratyczny system skrojony podług swoich preferencji. Nic dziwnego, że się tam nie sprawdza.

Kiedyś dyskutowałem te kwestie z Yowerim Musevenim, już od ćwierćwiecza prezydentem Ugandy. Sam bynajmniej nie zdobył władzy w wyniku wolnych wyborów, lecz zamieszek, w rezultacie których odszedł jego poprzednik, Milton Obote (ten zaś jeszcze wcześniej dokonał zamachu stanu i odsunął od rządów despotycznego dyktatora Idiogo Amina). Również ostatnie wybory, w 2006 roku, przeprowadzone już w nowym, quasi-demokratycznym stylu, budzą liczne zastrzeżenia. Museveni to skuteczny polityk, reformator, na pewno autentyczny patriota, jednakże rządzący w warunkach limitowanej albo, powiedzmy, sterowanej demokracji.

Jego główny argument – który przyjmuję, bo znam realia Ugandy i wielu innych podobnych krajów – to obawa, że w przypadku całkowicie wolnych wyborów partie organizowałyby się według podziałów etnicznych, a nie merytorycznych. A akurat takie linie podziałów Museveni próbuje, z niezłym skutkiem – zwłaszcza na tle sąsiednich Sudanu, Kenii, Konga czy Ruandy – przełamać. W konsekwencji Uganda radzi sobie od strony ekonomicznej lepiej niż niejeden kraj, gdzie doza demokracji jest może nawet i większa, ale też więcej jest biedy, nierówności, zacofania.

Sprawy są jednak bardziej skomplikowane. Istnieją bowiem kraje zarówno bardziej demokratyczne niż Uganda (w Afryce chociażby Botswana, Ghana, Senegal, a od jakiegoś czasu Mozambik), które odnotowują lepsze rezultaty w sferze rozwoju gospodarczego, jak i

takie – jest ich większość – które są ewidentnie niedemokratyczne i gospodarczo radzą sobie zdecydowanie gorzej. Gdzie zatem tkwi problem?